

Przyjaciel Ludu.

ROK DWUNASTY.

No. 10.

Leszno,
dnia 6. Września 1845.



Rodzina tatarska w podróży.

Tatarzy.

(Wyciąg z *Wspomnień z podróży w Krymie.*)

U stóp góry, wśród drzew figowych i winnych latorośli, rozpierchła się mała tatarska wioska. W krótkie wjechaliśmy na podwórze chaty Ibrahima Mułły, ojca naszego przewodnika. Stary Tatar, otoczony ciekawą gawiedzią z całej wioski, wyszedł naprzeciw nas i powitawszy przyłożeniem prawej ręki na serce, zaprosił do siebie. Pomimo mało zamożnego stanu Tatarów, czystość ich mieszkań jest zadziwiająca. Chatkę przypartą zwykle do skały, w sześciu zbudowaną, z ogródkiem na dachu, co tydzień biała i myją. Wewnątrz izbę czystą, wybieloną, okładają u dołu poduszkami i sofami, u pułapu zaś zdobią porozwieszanemi dokoła dzierganiami ręcznikami i serwetami. Konie, poduszki i kołdry, te są trzy rzeczy, które Tatarzy starają się o ile możności jak najwykwintniejsze posiadać. Nieutrzymywanie psów ani za-

dnych nieczystych zwierząt i religią przykazane codzienne umywanie, wiele się przyczyniają do osobistej czystości tego narodu. Tatarzy nieulegając dzikim namietnościom innych mieszkańców wschodu, odznaczają się całą im właściwą gościnnością. Zapukawszy do którejkolwiek chaty, można być pewnym, że miód, mleko i owoce wystąpią natychmiast na przybycie łaskawego gościa, bez wymagania za to żadnej zapłaty. Ażeby dobrze poznać Tatarów, trzeba ich podzielić na trzy części: pierwsi południowo nadmorscy, drudzy Górale i ostatni stepowi. Aczkolwiek nieróżnią się oni religią, ani pochodzeniem, wszelako te trzy rozdziały dostateczne są do nadania każdej części właściwych odcieni. Góry, morze i step, stósownie do wyboru któregokolwiek z tych siedlisk, urobił się sposób życia i myślenia każdej z 3ch gałęzi tego narodu. Tatarzy nadmorscy, hojnie obdarzeni od natury, niepotrzebujący oddawać się zbytecznej

pracy dla wyżywienia, żyją na sposób wschodni w próżniactwie i rozmyślaniu. Zarzuciwszy nogi pod siebie, obsiadają jakie źródło lub meczet, i tam paląc fajki i spoglądając czasami po sobie, rozmowa albowiem pociąga za sobą znużenie, całe dnie przepędzają. Inni pod cieniem swoich drzew owocowych, również okłębieni tytuniowym dymem, liczą owoce i oczekują czasu zbioru, poglądając na nie w spokojności ducha.

Górale, mniej szczęśliwie uposażeni, wieśdź muszą żywot nieco pracowitszy, i z tego powodu, jako też dla zdrowego powietrza gór, którym oddychają, są daleko roslejsi, silniejsi i bardziej męskiego ducha. Tatarzy stepowi, pomimo nieznośnych skwarów słonecznych, uprawiają w polacie czoła ziemię i zajmują się hodowaniem trzód. Ci ostatni, chociaż silnej budowy, mają umysł najmniej rozwinięty i postawę często przynięcioną i ponurą. Tatarzy stepowi są bardzo wytrzymali, niesłuchanie dla siebie skąpi i chciwi złota jedynie dla kruszcu; prowadząc dawniej znaczny handel skórami i zbożem, stawali się posiadaczami znacznych summ, które zakopywali w ziemi, nieraz unosząc do grobu tajemnicę o swoich skarbach.

Zwykle Tatar, mający trzody powierzone swemu dozorowi, siadał na konia, brał z sobą kilkanaście funtów mąki z prosa, i tak samotnie w pustyni przechodząc z jednego miejsca na drugie, po miesiącu, nieoglądając twarzy ludzkiej, przepędzał. Czasem szarańcza, pędzona wschodnim wiatrem, spadała płachtą na łany zbożem zasiane. Ilość jej była tak niezmierną, że cmiła słońce. Wtedy nielitościwy owad na sześć cali grubości pokrywał ziemię i słychać było tylko zgrzyt i chrupotanie zboża; żaden najmniejszy ślad wegetacji po tej pladze egipskiej nie pozostawał. Niekiedy zerwała się burza, niosła na swoich wichrowych skrzydłach całą tę czern dół morza, topiła ją i nad brzegami wał z trupów usypywała; piekielne wszakże stworzenia i w tym stanie szkodziły jeszcze ludziom, sprowadzając zarazę szkodliwymi wyziewami, z takowych wałów się wydobywającymi. Na wzór tego to skrzydlatego wojska dzicz zapuszczała na Europę swoje zagony, do zniszczonych zasiewów mord i pożogę dodając. Tym sposobem ludzie chcieli okazać wyższość nad zwierzętami.

Pomimo powszechnie panującej w Krymie wiary mahometańskiej, Tatarzy, równie jak każdy inny naród, posiadają rozmaite narodowe podania, baśnie i legendy. Śród wielu mało znaczących, uderzające jest wyobrażenie, jakie mają o Fortunie, a które, o ile się zdaje, tradycyjnie przeszło do nich od poprzednio tam zamieszkających Greków. Wystawiają oni sobie Fortunę jako kobietę, która dawniej miała siedlisko w niebie i dopóty tam żyła i była szczęśliwą, dopóki nie porwano jej dzieci i nie uniesiono

ich na ziemię. Biedna kobieta obejrzała się do koła jednem okiem, które miała na samym wierzchu głowy, a nieznachodząc nigdzie w niebie swych dzieci, zbiegła czem prędzej na ziemię. Odtąd ta olbrzymiego wzrostu niewiasta, biegnąc coraz po innych drogach, a pochwycawszy którego ze śmiertelnych w swoje objęcia, wznosiła go nad głowę, aby tém jednem okiem przypatrzyć się: zali to nie jej dziecię; postrzegłszy wszakże swoją pomyłkę, z téjże samej wysokości jeszcze prędzej rzuca niewinną ofiarę na ziemię.

Tatarzy krymscy ściśle stósują pracę do swoich potrzeb; tyle tylko pracują, ile potrzebują na własne wyżywienie.

Kobiety tatarskie, o ile je można widzieć, są piękne, czarno-włose, z dużemi ciemnymi oczyma, które błyszczą jak węgle z pod okrywających je białych kalemkiarów. Niewiasty zamężne obcinają włosy i obwijają głowę w białą chustkę, której końce zwieszają aż do kolan. Dziewczęta zapletają włosy w niezliczoną ilość cienkich warkoczy i rozrzucają je po ramionach. Na głowie noszą mały fez, czyli czerwoną czapkę, którą stroją w złote i srebrne monety. W złocistej kiści takiego fezu pozaczepiane zwykle bywają rozmaite trójkątne talizmany, jedne z Mekki przez pielgrzymów przyniesione, inne chroniące od uroków i chorób. Wszystkie mają upodobanie w klejnotach i rozmaitych niewieścich ozdobach.

Dziewczęta i kobiety, których mężowie czynili ślub wstrzeźliwości, nie używają nigdy bieliidła, ani żadnych maści. Natomiast wszystkie zamężne malują brwi i rzęsy na czarno, twarz na biało i czerwono, paznogie u rąk i nóg, jakoteż pięty, na ciemno-żółto. Szczególniejsza rzecz, że od niejakiego czasu Tatarzki zaczynają powoli wprowadzać niektóre zmiany w stroju, od wieków przez nie przyjętym. Mieszkańki Bakczysaraju co rok wynajdują jakieś nowe mody, a wieśniaczki o ile możności starają się je naśladować.

Małżeństwa odbywają się sposobem zwykłym na wschodzie. Posag dawniej wypłacany był prosem, jako ziarnem stanowiącém główną podstawę pożywienia Tatarów, raz jako mąka lub kasza, następnie jako buza, czyli upajający napój, pędzony na chmielu. Gdy więc następował odbór wiana, stawała panna młoda strojona w wieniec z kwiatów i okryta całą od głowy do stóp przezroczytą lekką zasłoną; natenczas z góry sypano na nią proso, dopóki całkiem nie znikła w piramidnym zsypie tego ziarna.

Zwyczaj ten trwał znaczny przeciąg czasu, skoro się wszakże przekonano, że dziewczęta małego wzrostu wyraźnie na tém traciły, i że za pierwsze usposobienie na żonę wzrost zaczęto uważać, zgodzono się nareszcie, wydzielać w posagu raz umówioną dla wszystkich liczbę

miar prosa, bez względu na rozrósłość lub wybujałość panny młodej.

Życiorys Elżbiety z hr. Krasińskich Jaraczewskiej.

(Dokończenie.)

Najpierwszą powieścią Elżb. Jaraczewskiej, jest *Zofia i Emilia*. Dyktowanie tego dzieła, zabrało jej tylko trzy tygodnie, a jednak postępowała naprzód nieśmiało, w tym pełnym dla niej roskoszy zawodzie. Podług nagannego większej części *Dam polskich* zwyczaju, nie nauki była do pisania w rodowitym języku, musiała więc zrazu sama siebie przetłómaczać. Lękała się także owego pierwszego pojawienia świata, i tak jak osoba wchodząca do licznego i nieznanego towarzystwa, nie pewną była u przejdzonej wyobraźni, nadała może temu pierwszemu utworowi cechę jakowéjs poważnej ukladności, w pośród której odbijają się atoli świeże obrazy, trafne spostrzeżenia, i pełne tklivosti ustępy. Wtedy utworzyło się dla Elżb. Jaraczewskiej nowe i urocze życie, i wtedy nawet jej szczęście uzupełnioném zostało; tak, jak żeby świat w jej duszy odbity, rzeczywistością był dla niej, a życie istotne, snem tylko przemijającym; godziny od dyktowania zbywające, snem się jej tylko zdawały. Wrodzona jej uprzejmość jedynie ją skłaniać mogła do uczestniczenia zajęciom i rozrywkom otaczających ją osób, ale je tylko podzielała sercem i dobrocią; myśl jej była gdzie indziej. Dyktowała zwyczajnie bez przerwy, ale i bez natężenia umysłu od dziewiętej z rana do obiadu; po obiedzie znowu do wieczora, a nigdy jedna osoba nie nastarczała pisać; — ją, tylko odpoczynek męczył.

Po *Zofii i Emilii*, wydawała małe dziełko ulotne, pod nazwą: „*Upominek dla dzieci*“; jest to wprawdzie fraszka, ale wdzięczna i miła, jak ten błogi wiek życia, a przytém pełna prawdy i doświadczenia, jak to wszystko, co z pod jej pióra wyszło.

Gdy się coraz więcej rozwijało jej literackie powołanie, a pochlebne pierwszych dzieł przyjęcie dodało jej nieco odwagi, w przeciągu dni dwunastu podyktowała, poprawiła, i do druku wydała powieść: „*Wieczór adwentowy*“, która się najwięcej powszechnie podoba. W rzeczy samej, obok ożywionego i wiernego obrazu staropolskich patryarchalnych obyczajów, przedstawia niektóre typy prowincjonalnego pożycia teraźniejszych czasów; a wszystko tak dokładnie, takim pozorem rzeczywistości nacechowane, że każdy ze starszych tego dzieła czytelników znajduje w niém wspomnienia młodych lat swoich. Każdemu się zdaje, że znał którąś z działających w niém osób, że jakowąś część swoich własnych odczytuje pamiętników: że tak by-

ło w istocie, i inaczej być nie mogło. Co zaś do scen prowincjonalnych tegoczesnych, te są tak malowniczo i trafnie oddane, że nawet posądzano autorkę, iż w czasie tyloletniego pobytu na wsi, nieustannie w około siebie szukała wzorów. Jednak, osoby nierozłącznie z Elżb. Jaraczewską przestające, sumiennie ręczyć mogą, że zbyt gruntownie dobra i uprzejma, ażeby chciała kogokolwiek wyszydzić, nie skreśliła w tych powieściach ani jednego osobistego portretu, i nie chciała wytknąć niczych wyłącznie wad i śmieszności. Obrazy jej wynikały jedynie z odbitych ogółowych wrażeń, z badawczego umysłu i wiernej pamięci.

Pomimo, że już wtenczas dochodziły Elżb. Jaraczewską pochlebne o jej pismach zdania, tak daleką była od zarozumiałości, i tak się nigdy z niczego nie chlubiła, że w zamieszkannej przez nią okolicy, długo po wydaniu pierwszego jej dzieła, nie domyślano się, że jest autorką. Jakkolwiek przecież była obojętną na swoją słynność literacką, dwie blahe, i na pozor nic nie znaczące okoliczności, ucieszyły ją niezmiernie. Znajdując się w Warszawie, wkrótce po wydaniu swój pierwszej powieści, przechodziła raz przez krakowskie przedmieście. Szedł naprzeciwko niej jakiś młody człowiek, zatopiony w książce zapewne dopiero kupionej. Na twarzy jego żywe malowało się zajęcie, i wskutku téż pewnie tego zajęcia, niepostrzegając nadchodzącej z przeciwnéj strony osoby, potrącił ją niechcący, i o mało nie wywrócił. Wstrzymała się jednak, i spojrzawszy poniewolnie w czytana tak namiętnie książkę, poznała swoją własną: „*Zosię i Emilię*.“ Trudno sobie wystawić, jak ją ten mały wypadek ucieszył, i z jakim upodobaniem opowiadała go wszystkim. Lecz czyż radość tak pełna łagodnej prostoty, nie świadczy zarazem, jak mało była wymagająca, i jak jej piękna dusza cenić umiała choćby najprzelotniejsze współczucia oznaki?

Drugi raz znowu, będąc na wsi, gdzie prawie powszechnie przyjętym na prowincyi zwyczajem, daleko liczniejszy dwór miała, aniżeli tego wygoda i potrzeba wymagały, mając wieczorem jakiś rozkaz do wydania, kazała zawołać jednego z swych ludzi, lecz go nie było w przedpokoju. Wymieniła drugiego, nie było go także, trzeciego toż samo; chłopców nawet służących przy kredensie nie było. Zdziwiona i nieco zafrasowana tém pospolitém ruszeniem, kazała poszukać zbiegów, i znaleziono ich wszystkich zgromadzonych w kuchni, przy stole, w około kucharza, najbieglejszego pewnie z pomiędzy nich literata, który z wielkim zadowoleniem całego grona, czytał głośno: „*Wieczór adwentowy*.“ Była to druga chwila prosto-dusznój radości, i kaźden to wyrozumie, że autorka snadnie panią domu przeblagała.

Czwartém, ostatniém i pewnie najszczytniejszém dziełem Elżb. Jaraczewskiej, jest powieść: „Pierwsza młodość, pierwsze uczucia.“ Podyktowanie tej powieści w przeciągu miesiąca uakutecznionem zostało, a jednak ileż w niej trafnie odmalowanych charakterów, ile zajmujących wypadków, głębokich myśli, poetycznych porównań! ileż dojrzałego doświadczenia, jak głęboka znajomość ludzi, i jak pociągająca dążność ku religijnemu celowi! Dzieło to, było naju podobniejszym autorki utworem; nazywała je zwykle: „Testamentem swego rozumu i serca,“ jakby przeczuwała, że śmierć zawczesna ograniczy wkrótce jój ulubiony zawód. Niepodobna atoli wysłowić, ile się jeszcze w tej żywej wyobraźni snuło i gromadziło pomysłów do nowych utworów, i jak bogatego plonu spodziewać się można było z tak nadzwyczajnej obfitości.

Lecz jak okropnie pomyśleć, że światło najjaśniejsze przyswiecające, zgasnąć może raptownie, i że nawet im świetniejszym odznacza się blaskiem, tem się prędzej trawi i niknie! W chwili właśnie, gdy niepojęte roskosze, wypływające dla Elżb. Jaraczewskiej z jój umysłowych zatrudnień, dopełniły miarę jój doczesnego szczęścia, przez rozprzestrzenienie widnokręgu jój ziemskiego życia, nasycenie tej wyobraźni, tak łaknącej mocnego zajęcia, i ustalenie równowagi w tej tak płomienistej duszy, wypadki zaśle niespodziewanie w końcu 1830 r., zmusiły ją rozstać się z mężem, którego kochała nad życie, a już nie miała więcej oglądać. Rozłączenie to, było tak rozdzierające, że je opisać niepodobna. Powiedzieć można, iż odtąd niejako umierać poczęła, i resztę dni swoich smętnie już tylko przebołała.

Przyjechawszy wtedy do Krakowa, gdzie już przed zamążciem swoim przemieszkiwała kilkakrotnie, uspokoiła się nieco na pozór, i znowu uprzyjemniała chwile osobom, z którymi żyła, zabawiając wszystkich swoją dowcipną wesołością, podczas gdy ją skrycie najokropniejsze dręczyły obawy. W kilka miesięcy potem dowiedziała się, że jój mąż skończył życie nagle na cholere. Jakby piorunem rażona, zdawała się przez jakiś czas pozbawioną przytomności i uczucia, i tak zatrwająca ośłupiałością spostrzegać się w niej dawała, że przewidzieć można było, iż (jak sama mówiła) życie jój w korzeniu podciętem zostało. Obawiając się atoli, ażeby żal jój nieutulony nie ciężył drugim, usiłowała się okazywać równie wesołą jak wprzód, lubo jój biedne serce tak było rozdartem i rozkrwawionem, że życie ranami jego uchodziło.

W skutku tej niszczącej wewnętrznej tęsknoty, i tego zewnętrznego nadludzkiego przezyciężenia się, zagrożoną została w krótko najokropniejszą słabością, bo, rakiem w piersi. Choć starannie przed nią ukrywano, czego się obawiano dla niej, gwałtowne i dojmujące bó-

le, których już doznawała, ostrzegły ją aż nadto o zbliżającym się niebezpieczeństwie. Ile zaś razy ukazała się jój wyraźnie zastraszająca przyszłość, wznosiła oczy do nieba, mówiąc pokornie: „Niech się nademną spełni wola Pana Boga!“ — Tylko bowiem w miéć z przyjaciółmi obcowaniu, szukała ulgi w swych dolegliwych wszelkiego rodzaju cierpieniach; dusza jój sięgając wyżej, szczytniejszych i rzeczywistszych szukała pociech w gruntownej i wzniosłej pobożności, której przez cały ciąg życia tak wierną była. To téż i Bóg ulitował się nad nią, skracając jój męczeństwo, i wtedy gdy obecność śmiertelnej wprawdzie, ale długo trwać mającej choroby, obawę wszelkiej innej usuwać się zdawała, nerwowa gorączka przecięła raptownie to życie, tak wydziedziczone ze szczęścia na ziemi, tak pożyteczne dla ludzi, tak pełne zasług dla nieba.

Zgasła 28. Września 1832 roku.

Ludwika Ossolińska.

Kraków, dnia 15. Maja 1845 roku.

Klasztor Śgo Jerzego. Cherson.

(Wyciąg z *Wspomnień z podróży w Krymie.*)

A teraz dalej, — znowu nad morzem, tam gdzie góry coraz się zmniejszają, zanim zupełnie zatoną w stepowej płaszczyźnie, — jedźmy w głąb Krymu deptać coraz po nowych pamiętkach.

Na pół drogi od Bałakławy do klasztoru Śgo Jerzego, leży mała wioska tatarska Karakadikoj. Do koła góry i jodłowe lasy otaczają siedziby spokojnych mieszkańców. Tuż obok ubogiego meczetu widać smętarz. Śród ciemnych cyprysów bieleją kamienne turbany, jeden wszakże grobowiec wspanialszy od innych, ozdobiony codzieln świeżem kwieciem, zwraca pomimo-wolnie uwagę przechodnia.

Zapytany Tatar, bełkoce jakieś niezrozumiane słowa, wznosi oczy do góry, a nic nie powiedziawszy, każe domyślać się wszystkiego i zaostrza ciekawość. W całym aule jest jeden tylko stary 90-letni Muezyn, który każdego poranku niesie na ten grób świeże kwiaty, rozścięła je z westchnieniem i mruczy za duszę nieboszczyka pacierze. Zaprawdę to musi być jakaś brylantowa bajka Harun-Al-Raszyda; ale otóż właśnie zbliża się starzec z codzienną swoją ofiarą; po zwykłym powitaniu usiądźmy na grobowcu, skierujmy rozmowę do żadanego celu, a może zechce zaspokoić naszą ciekawość. I sędziwy Muezyn, potrząsa głową nierad, że musi budzić bolesne wspomnienia, głaszcze siwą brodę, nareszcie, jakby dla gościnności czynił ofiarę z nałogu milczenia, tak rozpowiadać zaczyna:

„Dawno temu — bardzo dawno, jak w Krymie słyneła z potęgi i bogactw rodzina Mansurów. Członkowie tej rodziny zwykle przy bo-



Rzeźbiarz grobowców na cmentarzu.

ku Hanów piastowali godności Kałgów i Nuradynów; pierwsi w najazdach, ostatni przy podziale łupów, zyskali wziętość i poważanie całego narodu. W bitwach nie szczędzili krwi własnej, dla tego przed stu laty z tak licznej rodziny trzech ledwie pozostało. Reszta wyginęła. Dwóch zabito w najazdzie na Polskę, czterech zginęło na wojnie z Turkami, kilku w jassyr wziętych wbito na pal w Stambule, trzej więc pozostali bracia mieli być nadzieją rozrodzenia lub końcem rodziny Mansurów.

Najstarszy, Sulejman Mansur, był ulubieńcem 34go Hana Maskud-Alym-Gireja, dwaj zaś młodsi, Achmet i Ali, służyli jako Mirzowie w jego wojsku.

Znane powszechnie jest panowanie Alym-Gireja; chciwy, rozwiązły, okrutny, dręczył lud powierzony przez Allaha jego opiece, uciskał go podatkami, porywał córki najznakomitszych mieszkańców do swego haremu, aż wreszcie przebrała się miara jego zbrodni i strącony został z tronu przez następcę swego, wiekopo-

mniej pamięci Krym-Gireja. Owoż więc pewnego dnia gdy Sulejman wyjechał na łowy, siepacze Alym-Gireja wpadli do jego mieszkania i porwali mu młodą żonę, z którą się był od kilku dni dopiero połączył. Piękna Zulejka, pomimo łez i krzyków, gwałtem zawleczoną została do hańskiego haremu. Wierny sługa Sulejmana pośpieszył natychmiast za swoim panem w góry, i dał mu znać o wszystkim, co się stało podczas jego nieobecności. Na tę wiadomość zakipiała krew w żyłach nieszczęsnego nowożeńca, zwołał braci i opowiedział im całą przygodę. Zemsta jednakowo wszystkich trzech ogarnęła, niewdzięczność władcy za usługi od tylu wieków świadczonych krajowi przez rodzinę Mansurów, podsyciła jeszcze zapamiętałość gniewu, w jaką ich ta wiadomość wprowadziła. Nie było po co wracać do Bakczy-Saraju. Alym-Girej lękając się zgubnego dla siebie ich wpływu, starałby się jakimkolwiek sposobem pozbawić ich życia. Po krótkim więc namyśle bracia zabrawszy z sobą kilku przyjaciół i służących, udali się w góry z postanowieniem niewracania już nigdy do hańskiej stolicy. Bliżko przez miesiąc nikt nie wiedział co się z nimi stało. Alym-Girej myślał, że wsiedli na jaki turecki okręt i na zawsze kraj opuścili. Tymczasem nikt nie mógł dostać się bezpiecznie na drugą stronę gór

dzielących Krym południowy od stepów. Rozboje i morderstwa coraz się pomnażały, najwięcej wszakże uważano, że rabusie starali się napaść na ludzi należących do hańskiego orszaku i tym nigdy życia nie darowali. Przestraszył na całą okolicę; wszelkie usiłowania ku wytepieniu zbójcekiej czeredy okazały się bezskutecznymi; krajowcy niesprzyjając Hanowi, donosili zawsze rozbójnikom o zbliżającym się na ich zgubę wojsku, a lud, widząc łuny z pożarów hańskich składów i dworców, głośno utrzymywał, że to wszystko było niczem innem, jak tylko skutkiem zemsty trzech braci Mansurów.

Niebo zdawało się iść w pomoc uciśnionym, jakoż w krótko Alym-Girej obrażony na siebie Portę, zrzucony został z tronu, a na jego miejsce siadł Krym-Girej. Rządy nowego Hana łagodne i roztropne, poczęły zapowiadać pomyślność całemu krajowi. Trzej bracia zapragnęli koniecznie mieć udział w mądrych czynnościach Krym-Gireja, ale przez czas pobytu w górach, kilka szlachetnych postępków zaćmione były przez

nawał najokropniejszych zbrodni; ceny były nałożone na ich głowy. Han ludzki dla cnotliwych, dla występnych zmieniał się w okrutnego, słowem, nie wiedzieli czego się chwycić, a przecież zał ich serca przenikał, skoro pomyśleli, że ostatni potomkowie znakomitej niegdyś rodziny Mansurów, może skończą na szubienicy. Gdy tak wspólnie rozmyślali, usłyszeli nagle okrzyk trwogi i ujrzeni z daleka nadbiegającą jazdę tatarską, ustanowioną przez Krym-Gireja jedynie dla ścigania trapiących kraj rozbójników; — nie było ani chwili do stracenia, porwali za broń i czém prędzej poczęli uchodzić w góry. Tym razem los nie był dla nich tak jak zwykle pomyslny; — w przejściu przez wąwóz rozdzielający dwie skały, średni brat Achmet został ciężko ranny; Sulejman porwał go na barki i z szybkością jelenia unosił w góry. Cieżar wszakże bieg jego zwalniał, pogoń się zbliżała, trzeba było porzucić nieszczęśliwego Achmeta. Wszelako chociaż wielu już Mansurów ginęło zaszczytną śmiercią na polu bitwy, żaden przecie nie shańbił swego imienia zgonem z ręki oprawców. Czuł to dobrze Sulejman, złożył więc omdlałego brata na urwisku skały, uściśnął go, dobył noża z zapasa, a odciawszy mu głowę, którą uniósł z sobą, tułów strącił w przepaść. Wieczorem obaj bracia znaleźli się już w bezpiecznym miejscu i tajemniczo zakopali głowę poległego. Tymczasem sława Krym-Gireja rozchodziła się na wsze strony. Sulejman postanowił jakimkolwiek sposobem wyjednać u Hana przebaczenie i wrócić do kraju. Niemogąc długo upatrzeć żadnej sposobności, chwycił się ostatniego środka. Dowiedział się, że młody Selim, syn Ibrahima-Uhłu, Wezyra Krym-Gireja namiętny lubownik polowania, zjeżdżał często do Korba-Kol pod Czatyrdahem, aby tam strzelać znajdujące się w obfitości jelenie. Uczynił zasadzkę, porwał Selima i wprowadził w góry. „Poślij do twego ojca,“ mówił Sulejman do jeńca, „aby nam wyjednał przebaczenie u Hana, a będziesz wolny jako orzeł gnieżdżący się na szczycie tych skał, inaczej zginesz taką śmiercią, jakiej dotąd żaden człowiek nie poniósł.“ W kilka dni po téj rozmowie wracał posłaniec od staroego Ibrahima-Uhłu, przynosząc firman zapewniający wolność i powrót do dostojeństw dwom braciom Mansurom, jeżeli ci przyprowadzą z sobą zdrowego Selima. Stało się zadosyć życzeniem Sulejmana, ten wszakże nie dowierzał hańskim obietnicom i zostawiwszy Alego w górach, udał się sam z Selimem do Bakczy-Saraju.

Już było późno w nocy, gdy dwaj podróżni przybyli do Wezyrowego dworca. Na widok syna, którego wszyscy uważali już za przepadłego, stary Ibrahim nie mógł wstrzymać wybuchu ojcowskiego przywiązania i porwał go w swoje objęcia. „Teraz,“ odezwał się ponury głos stojącego w kącie najstarszego z Mansu-

rów, „gdyś odzyskał syna, możesz zapomnieć o twojem przyrzeczeniu i kazać mnie powiesić, ale tam został się w górach jeszcze młodszy mój brat Ali, któremu odpowiesz siwą twoją głową za moje życie; jeżeli więc prawdą jest, coś napisał, przysiąż mi tu na koran i brodę Proroka, że za przybyciem mego brata będziemy oba wolni i bezpieczni.“ I stary Wezyr ukląkł i zaprzysiążł na koran i brodę Proroka nietykalność braci Mansurów. Wrócili więc oba i potrafilo zyskać przebaczenie i względy samego Hana, tak, że ten oddał im dowództwo nad jazdą tatarską, na wytepienie zbrojców przeznaczoną. Tak przepędzili kilka lat w powszechném poważaniu i łasce Krym-Gireja. Sulejman święcie spełniał swoje obowiązki, żył wstrzemięźliwie, wolne chwile od zatrudnień przepędzał w meczetach, dostatkami swemi wspomagał ubogich, a to wszystko dla prześlągania Allaha za niewinnie przelaną krew braterską. W duszy Alego, żywot rozbójniczy, lekceważenie śmierci i rozpusta, zagładziły ostatki szlachealnych uczuć. Nudził się w Bakczy-Saraju piekielnie, nie pojmował życia beczynnego i siedział wiecznie w swojej komnacie, jak tygrys w klatce. Nareszcie nie mógł się oprzeć chęci powrotu do dawnego rzemiosła i pewnej nocy potajemnie uszedł w góry. Sulejman postrzegłszy ucieczkę brata, domyślił się natychmiast reszty i na drugą noc znikł także z Bakczy-Saraju. W kilka dni rozeszła się pogłoska po całej okolicy, że bracia Mansurowie znowu goszczą w górach i rozbijają podróznich. Krym-Girej zwołał Radę do Dywanu, postanowiono wybrać najdzielniejszych ochotników, i naznaczono za głowy rozbójników sowite nagrody. Gdy tak radzono w Dywanie, otwarły się podwoje i wszedł do sali Sulejman. Wszyscy zwrócili nań wzrok pełen zadziwienia. — „Krym-Gireju!“ rzekł najstarszy z Mansurów, „namiestniku Proroka na téj ziemi, gwiazdo rozweselajająca swoim światłem dusze nasze! racz spuścić na mnie niegodnego promień twojej łaski i wysłuchaj mnie! Dochowałeś nam wiary, obiecując przebaczenie, i ja również nie zламаłem przysięgi, gdyś mi w wysokim twém zaufaniu oddawał dowództwo nad jazdą, na wytepienie rabusiów przeznaczoną. Oto przynoszę dowód, że język mój nie skłamał przeciw mojej ręce.“ I przy tych słowach Sulejman wytrząsnął z ukrytego woru głowę Alego.

Od czasu jak najstarsi ludzie mogli zapamiętać dzieje Mansurów, jedni z téj rodziny zginęli na polu bitwy, inni szanowani od rodaków w spokoju zeszedli ze świata, dwóch tylko zginęło w kraju z ręki szlachetniejszego od nich. Odtąd Sulejman nie pełnił żadnych już obowiązków, wziął na siebie torbę i kij pielgrzyma, modlił się u grobu Proroka w Mecce, nareszcie wróciwszy do kraju, osiadł na starość w Kara-Kadikoj, i tam w bogobojności i modli-

twach życie zakończył. Dziś dopóki stary Muzyn jeszcze żyje, codzien świeże kwiaty zdołać będą grób ostatniego z Mansurów, w krótkce jednak zgrybiały zwiastun modlitw z minaretu, przenerie swą odmłodniałą głowę na łona rajskich huryssek, razem z nim zwiędnieją kwiaty, kto wie tylko, jak długo wspomnienie trzymać się będzie kamienia grobowego Sulejmana.

Zamek krakowski.

(Ciąg dalszy.)

Po zwiedzeniu pierwszego piętra, wróć się przez galerye do głównych marmurowych schodów, i temi udaj się na drugie piętro. Tu po prawej ręce pierwszy pokój zwał się marszałkowski, a następne pokoje zwały się pokojami Królowej, gdyż w nich zwykle przemieszkiwały. Czyli w nich, po wystawieniu téj części pałacu przez Zygmunta I., zamieszkiwała Bona, i w nich frymarczyła szczęściem kraju i własnej rodziny, nie jest wiadomo, bo pokoje te, dopiero dla Elżbiety, pierwszej żony Zygmunta Augusta, urządzone były, a czego jeszcze do dziś dnia jest pamiątką, piękne okno sypialnego pokoju, wychodzące na galeryę, nad którym obok herbu, korony i wielkiego księstwa litewskiego, widzimy herb rodziny téj Królowej. Najdawniejszą wiadomość o wewnętrznych ozdobach w tych pokojach mamy z roku 1553.; wtedy to na wesele Katarzyny, Austriaczki, żony Zygmunta Augusta, okryto ich ściany wspomnionemi powyżej obiciami, a o których współczesny Orzechowski tak nam pisze: (*) „Na obiciach tych pierwsze z Pisma św. przegody igła, jak gdyby pędzlem wyrażone były. Najprzód początek bycia i klęsk naszych, Adam i Ewa, na tle złotem, stali jak gdyby żyjący wyrażeni. A że cała ich historia dziwną sztuką i dowcipem wyrobioną tam była, żebyś i talent artysty, gust i wspaniałość Króla naszego poznał dokładnie, wszystkie tu skreślę:

„Pierwsza poła szpalerów u głowy małżeńskiego łoża, wyrażała szczęśliwość pierwszych rodziców naszych, którzy że niewinni, nie widzieli się być nagiem; każda płeć odmalowana igłą ze wszystkimi wdziękami swemi.

Na drugiej połe, widziałeś zakazaną jabłoń; tam i obłuda węża i ciekawość Ewy, i grzech Adama, zdawały się przemawiać.

Trzecia wyrażała nędzę, wygnanie z raju Adama, trwożę Ewy, zapalczywość zagniewanego Boga; to wszystko wyrażone było w najpiękniejszych odcieniach.

W czwartej, żal i boleść rodziców naszych. Nieszczęśliwy Adam okryty skórą, wypędzony z raju, ziemię lemieszem rozdzierał; Ewa zaś upokorzona z dwoma niemowlętami u łona, dokoła ubogiej krzątała się lepianki, nad lepianką, i koło Ewy nieznane ptastwo latało, jak

gdyby się natrzęsając z wygnańców, i wyrzucając im grzech ich.

W piątęj, przyjemna Bogu ofiara Abła, Kain z zawiści i gniewu kłający swą rękę.

W szóstej, rzucający się bezbożny Kain na brata Abła; lewą ręką porywa go za włosy, prawą podnosi szczękę kónską, już gotów śmierć zadać; tuś widział wściekłe oczy zabójcy, twarz rozognioną, najeżone włosy; rzekłbyś, że wściekcie miotały nim jędze.

W siódmęj, z otwartego nieba spozierał Bóg zagniewany; leżał broczący się w posoce trup Abła; naprzeciw, zabierający się do ucieczki Kain; rozpacz i zemsta w postaci kobiety ściągają zabójcę.

Ośma wyrażała zbrodnicze niegodziwego Kaina potomstwo. Ci porywali niewinne dziewice, inni gwałcili małżonki, owi najeżdżali miasta, zabierali cudze własności; wszędy gwałt, zabójstwa, godne ojca takiego czyny.

Takie były sypialnego pokoju szpalerzy. Żebyśmy zaś wierny opis podali tym, którzy tam przytomnymi nie byli, lub przez uszanowanie wniść do komnat tych nie śmieli, przydam resztę historyi Noego, a chcąc to uczynić, muszę was na chwilę z sypialni wyprowadzić; w krótkce do niej powrócim.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Teatr w Krakowie.

(Dokończenie.)

Ten upadek zupełny sceny krajowej, nie był winą przedsiębiorcy, gdyż robił co tylko mógł, przy dochodach wystarczających zaledwie na zaspokojenie dwóchtysięcznej pensyi miesięcznej artystów. Nie była także temu winna publiczność krakowska, nieuczęszczająca do teatru, bo trudno od niej wymagać, aby przyjemności teatralne opłacała cierpieniem niewygody i utratą zdrowia, na co ucześnie narażeni byli, gdyż gmach dawniejszy teatralny urządzone nie pytając się, czyli w nim widzowie będą co widzieć, czy nie będą im szkodziły ze wszech stron rażące przeciągi, czyli nareszcie w źle opatrzonym a nie opalonym teatrze wytrzymają pod czas mrozów.

Rząd krajowy, umiejący jak należy ocenić przeznaczenie teatru, dbały o jego moralne korzyści i pragnący je zapewnić mieszkańcom Krakowa, przyczyny tego upadku usunąć postanowił, przez wystawienie nowego gmachu teatralnego, przeznaczając na ten cel kapitał, odpowiedni rocznie wypłacanemu zasiłkowi teatralnemu w ilości 13,000 złtp. Gdy odjęcie tego zasiłku w r. 1840. spowodowało pana Pfeiffra do odstąpienia przedsiębiorstwa teatralnego, wtedy pan Tomasz Chełchowski, dyrektor kompanii prowincjonalnej z królestwa polskiego, podjął się bez tego zasiłku utrzymywać na dal teatr w Krakowie. Przedsiębiorca ten w dniu 8. Grudnia 1840 roku otworzył na nowo teatr, wypro-

(*) Pamiętniki Niemcewicza, t. V.

wadzając na scenę nie już dokończonych artystów, ale sposobiących się dopiero do tego zawodu.

A gdy los zdarzył, iż między tymi znajdowało się kilku nie tylko z talentem młodzieńców, ale z zamiłowaniem i z gorliwością pracujących nad ukształceniem się dla sceny narodowej, przeto w krótko utworzyła się z tej szkoły kompania artystów, z zadowoleniem przyjmowana od publiczności, a raczej od części jej nie wielkiej, gdyż liczba uczęszczających była bardzo mała, z powodu już to nie wygodnego teatru, już to niedokładności wszystkiego co do wystaw teatralnych jest koniecznie potrzebnym, jakoto: dekoracyi, garderoby i t. d.

W ciągu tego czasu Senat rządzący nabył po zmarłym Kluszewskim stary teatr przy placu Szczepańskim, a dokupiwszy przyległą mu kamienicę, postanowił odbudować nowy gmach teatralny, i wykonanie tego poruczył panu Karolowi Kremer, ówczesnemu budowniczemu uniwersytetu, i panu Tomaszowi Majewskiemu, ówczesnemu adjunktowi budownictwa. Przy szczupłości miejsca, umieszczenie w tym gmachu oprócz widowni sceny, garderób, malarni, składu na dekoracje, także sali reductowej z potrzebnymi do niej lokalami, traktyjerni, pomieszkania dyrektora teatru i inspektora gmachu, były warunkami stanowiącemi największą trudność, którą budowniczym pokonać kazano. Ich zdolności i praca zadanie to tak trudne rozwiązały dość szczęśliwie, a chociaż w teatrze wystawionym jeszcze nieco do życzenia pozostaje, jako to większa obszerność składów, brak pokoi na próby i t. d., to już przechodziło granice możliwości budowniczych i funduszów, na budowę teatru przeznaczonych. Te same względy wpływały i na zewnętrzną postać, ztąd też teatr krakowski nie odznacza się w prawdzie ani rzędami kolumn doryckich lub jońskich, ani innymi śmiałymi występami mass architektonicznych, wyrachowanymi na efekt i dziwiącemi oko, lecz mimo skromności i pojedynczości swojej, przedstawia się mile, a nawet dosyć ozdobnie. Styl architektury nowego teatru jest czysto florentyński, i to z czasów kiedy sztuki piękne, a zwłaszcza architektury, były w Florencyi na szczycie. Sala reductowa w tym nowym gmachu teatralnym jest najpiękniejszą i największą salą, jaką Kraków posiada. Przechodzi ona przez dwa piętra budynku, ma obszerną przedsalę i trzy pokoje uboczne, oddzielone od sali kolumnami korynckimi; — urządzenie to nie tylko ułatwia komunikacją w czasie balów, ale nadto bardzo piękny sprawia widok przy oświetleniu świecznikami pomysłu i roboty genialnego Gropiusa, przyozdabiającemi tę salę.

Rząd po wybudowaniu teatru odpowiedniego znaczeniu sceny, w mieście takim, jakim jest Kraków, nową jej wzrostowi zakresłając metę, zarząd tej sceny oddał na lat ośm panu Tomaszowi Chełchowskiemu, dyrektorowi w dawnym teatrze. W dniu 1. Stycznia 1843 roku

dane było pierwsze w nim widowisko przez młodych artystów kompanii pana Chełchowskiego, którzy przez swe talenta i usilność tyle i tak sprawiedliwych zyskali sobie względów publiczności, iż ta uczęszczała ciągle w wielkiej odtań liczbie na widowiska, nie zważając, że przedsiębiorca teatru nie stara się, aby wczémkolwiek zadosyć uczynił i wymaganiom i znaczeniu, jakie powinien mieć teatr. Lecz Rząd troskliwy o wzrost sceny, nie mógł z tego powodu pozostawić teatru pod tą dyrekcją, przeto powierzył ją na dalsze lata panu Hilaremu Meciszewskiemu, obywatelowi Krakowa, którego wykształcenie umysłowe i dobre chęci uważał za rękojmią zaspokajającą jego troskliwość. O ile ten nowy przedsiębiorca nie zawodzi zaufania Rządu, przekonywa się publiczność krakowska z tego widocznego postępu, jakim pod każdym względem odznacza się dziś nasz teatr, czytelnikowi zaś do nabycia tego przekonania najlepiej posłuży następny wyciąg ze sprawozdania ogłoszonego o teatrze (*) przez czas 10-miesięczny, a z którego okazuje się: „że przez ten czas przedstawiono 177 widowisk, między temi 77 sztuk oryginalnych polskich, 92 zaś z obcych języków tłómaczonych i 8 oper; w liczbie pierwszych było 21 zupełnie nowych, w liczbie drugich było 45 po raz pierwszy na teatrze krakowskim widzianych. Kompania artystów, pobierająca miesięcznie 10,526 złotp., posiada w swém gronie kilka talentów podobających się publiczności. Scena zaopatrzoną została 44 kompletnymi dekoracyami pęzła najcenniejszych w tym rodzaju mistrzów. Są one roboty Gropiusa, Papego i Bergera. Dekoracje te, kosztujące przeszło 60,000 złotych, nie zostawiają nic do życzenia, i nie jedna zagraniczna scena może ich Krakowowi pozazdrościć. Co do kostiumów, równe, jeżeli stósunkowo nie większe jeszcze starania i nakłady podjętemi zostały, i wystawa teatralna w Krakowie pod względem kostiumów żądaniom prawdziwych znawców czyni zadosyć. Co do orkiestry, w stósunku dawniej, teatr krakowski ma teraz prawdziwie dobrą. Wzmocniona z 16 głosów na 35, oddana prztem pod zarząd stałego dyrektora i zaopatrzona w muzykalia najnowsze, wieści w sobie wszystko, czem się tylko Kraków pod względem muzykalnych biegłości i talentów okazać może. Z szczegółów powyższych, z których się składa wszelka wystawa w ogólności, powziąć można wyobrażenie stanu obecnego sceny krakowskiej, a za to wszystko winniśmy wdzięczność troskliwości Rządu dzisiajszego, który nie małą rzeczy publicznej uczynił przysługę, wystawieniem gmachu i udzielaniem ciągłej opieki i pomocy do wzniesienia się jeszcze świetniejszego sceny ojczystej.

(*) Kilka słów Hilarego Meciszewskiego. Kraków, roku 1845.